

Rozdział XVII – Historia Zalvazara

Zalvazar, dziś znany jako gajowy Alva'Tharu, władał maczetą tak wielką, że zdawała się być przedłużeniem jego własnej duszy. Ostrze, wykute z rzadkiego metalu tijanu, potrafiło rozciąć nie tylko ciało, lecz także duchowe istoty, których nie miała się żadna inna broń. Jednak droga do tej potęgi była długa i naznaczona cierpieniem.

Nie zawsze był wojownikiem. W wiosce Olbrzymów, gdzie siła i wzrost były miarą wartości, Zalvazar uchodził za wyrzutka. Był niższy od swych pobratymców, trzykrotnie mniejszy od najpotężniejszych wojowników. Choć jego mięśnie były twarde jak kamień, a serce płonęło determinacją, nigdy nie zdołał zwyciężyć w rytualnych walkach, które wyłaniały alfę plemienia.

– Zalvazarze, znów upadłeś. Nigdy nie będziesz jednym z nas – szydził herold wodza, olbrzym o imieniu Grathor, którego spojrzenie było zimne jak stal.

Zalvazar podnosił się z ziemi, krwawiąc, lecz nigdy nie rezygnował. Każdy pojedynek kończył się jego porażką, ale nigdy nie tchórzostwem.

W końcu wódz, ulegając naciskom Grathora, wydał wyrok:

– Odejdź. Nie ma dla ciebie miejsca wśród Olbrzymów.

I tak Zalvazar został wypędzony, samotny, pogrążony w odrzuceniu.

Nie poddał się jednak. Wędrował przez puszcze i góry, ucząc się sztuki przetrwania. Walczył z bestiami, które dla innych były koszmarem, a dla niego – nauczycielami. Z czasem odkrył w sobie dar: potrafił poskramiać stworzenia i więzić ich esencję w kryształach i biżuterii, czyniąc z nich talizmany mocy.

Samotny, odrzucony przez Olbrzymów, Zalvazar wędrował przez góry, aż dotarł do miejsca, gdzie ziemia płakała ogniem. W szczelinach skalnych znalazł rudę tianu – metalu, o którym mówiono, że powstał z łez samej ziemi, gdy bogowie rozdzielali światy.

Rozpalił kuźnię w sercu lasu, używając drewna z drzew, które rosły od początku czasu. Ogień płonął siedem dni i siedem nocy, a Zalvazar nie odchodził od paleniska ani na chwilę.

W ósmą noc rozpoczął rytuał: Krew i ziemia – Zalvazar naciął własną dłoń i krople krwi spadły na rudę tianu. W ten sposób związał metal ze swoim życiem.

Następnie Ogień i duch – przywołał płomień pradawnych drzew,

a w dymie pojawiły się cienie zwierząt, które wcześniej ujarzmił. Ich duchy zasiliły ogień, nadając mu moc.

Kolejno Słowo i pieśń – przez całą noc szeptał zaklęcia w języku, którego nauczył się od samego lasu. Były to słowa, które nie miały znaczenia dla ludzi, lecz dla duchów były rozkazem.

Kiedy ostrze nabierało kształtu, Zalvazar zobaczył w nim swoje odbicie, nie takie, jakie widział w oczach Olbrzymów, lecz prawdziwe; wojownika, który nie potrzebuje niczyjego uznania.

Tijan nie jest zwykłym metalem. Powstał w chwili, gdy światy materialny i duchowy zostały rozdzielone. Każdy jego fragment nosi w sobie echo tamtej rany kosmosu.

Zalvazar, łącząc metal z własną krwią i duszami zwierząt, sprawił, że ostrze stało się pomostem między wymiarami. Dlatego jego maczeta mogła przeciąć nie tylko ciało, ale i to, co niewidzialne – duchy, cienie, iluzje, a nawet więzy, które łączą istotę z jej własnym losem.

Mówiono, że gdy maczeta uderza, słyszać nie tylko szcęk metalu, ale i echo dusz, które zostały w nią zaklęte.

Gdy ostrze było gotowe, Zalvazar uniósł je ku niebu. Płomień zgasł, a w ciszy rozległ się szept lasu:

– Nie jesteś już cieniem. Jesteś strażnikiem.

Od tej chwili maczeta stała się jego znakiem, a on sam – wojownikiem, którego nie mogły zatrzymać ani ciała, ani duchy.

Po latach wrócił do wioski Olbrzymów. Nie był już tym samym wyrzutkiem. Jego sylwetka, choć wciąż mniejsza od innych, emanowała siłą i spokojem.

Na placu zebrało się całe plemię. Na tronie z kości siedział Grathor – dawny herold, teraz wódz.

– Zalvazar? Ty śmiesz tu wracać? – ryknął Grathor. – Byłeś cieniem, a cieniem pozostałeś.

– Nie. Byłem cieniem, ale cień nauczył mnie walczyć ze światłem. Wyzwanie, Grathorze. Ty i ja. Teraz. – głos Zalvazara był spokojny, lecz niósł się jak grzmot.

Walka rozpoczęła się. Grathor uderzał jak lawina, jego pięści mogły kruszyć skały. Zalvazar unikał, parował, a jego maczeta śpiewała w powietrzu. Każde cięcie rozdzierało nie tylko ciało, ale i ducha przeciwnika.

– To niemożliwe... – wysapał Grathor, gdy ostrze tijańu przecięło jego zbroję jak pergamin.

– Możliwe. Bo siła nie rodzi się z rozmiaru, lecz z woli. – odparł Zalvazar i powalił wodza jednym, decydującym ciosem.

Grathor padł na kolana, a plemię zamilkło. Zalvazar spojrzał na nich z pogardą.

– Nie potrzebuję waszego uznania. Wasza siła jest pustą skorupą.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając za sobą wioskę, która kiedyś go odrzuciła.

Tak trafił do twierdzy Alva'Thar, gdzie znalazł swoje prawdziwe miejsce. Tam nie liczył się wzrost ani krew, lecz odwaga i moc serca. Jego maczeta stała się symbolem – narzędziem, które mogło rozcinać zarówno ciało, jak i duszę.

Zalvazar, wyrzutek wśród Olbrzymów, stał się strażnikiem Alva'Tharu. I choć wciąż nosił w sobie blizny odrzucenia, to właśnie one uczyniły go silniejszym niż kiedykolwiek.



Rozdział XVIII – Pierwsza misja Zalvazara

Alva'Thar dopiero co odetchnął po napaści Noc'Sharów, gdy w sercu pradawnego lasu zaczęło budzić się coś jeszcze starszego.

Ziemia drżała, a drzewa szeptały o bestii, która spała w korzeniach świata od czasów, gdy Wolmord dopiero uczył się oddychać.

Wieża Serbrusa wezwała Zalvazara.

Nie był już wyrzutkiem.

Nie był cieniem, który krył się na obrzeżach świata.

Był strażnikiem — gajowym Alva'Tharu, którego maczeta z tijanu mogła przeciąć zarówno ciało, jak i duszę.

Głos Aelvary rozbrzmiał w jego umyśle jak echo wiatru:

— Zalvazarze... las wzywa. Coś przebudziło się w głębi puszczy. Jeśli tego nie powstrzymasz, Alva'Thar znów pogrzeży się w chaosie.

Zalvazar skinął głową.

Nie potrzebował więcej słów.

Dotarł do miejsca, gdzie drzewa były tak stare, że ich korony zasłaniały niebo.

Powietrze było ciężkie, gęste od wilgoci i pradawnej magii.

Ziemia pulsowała jak żywe serce, a każdy krok brzmiał jak wejście w inny świat.

Z mroku wyłoniła się bestia.

Krothar.

Leśny kolos, pół-zwierzę, pół-cień.

Jego ciało oplatały korzenie, kamienie i mech, jakby był częścią samego lasu.

Oczy świeciły zielonym blaskiem, a każdy jego krok sprawiał, że ziemia pękała jak skorupa jaja.

— Nie jesteś tu mile widziany, człowieku — ryknął Krothar, a jego głos rozbrzmiał jak grzmot. — Las należy do mnie.

Zalvazar uniósł maczetę.

— Nie jestem człowiekiem. Jestem strażnikiem.

Krothar runął na niego jak lawina.

Zalvazar uskoczył, a ostrze tjanu przecięło korzenie oplatające ciało bestii.

Maczeta rozświetliła się zielonym blaskiem, a każdy cios rozdzierał nie tylko ciało, ale i duchową esencję Krothara.

Bestia zawyła, a z jej ciała wystrzeliły mniejsze stwory — cienie w kształcie wilków, węży i ptaków.

Ich oczy jarzyły się tym samym blaskiem co Krothar.

Zalvazar nie walczył z nimi mieczem.

Uniósł kryształ, który nosił przy pasie, i wyszeptał pradawne słowa.

Powietrze zawirowało.

Cienie zaczęły krążyć wokół niego, jakby wciągała je niewidzialna siła.

W jednej chwili wszystkie zostały pochłonięte przez kryształ, który rozbłysnął intensywną zielenią.
— Twoi służą teraz moją mocą — powiedział chłodno.

Krothar ryknął i spróbował zmiażdżyć go korzeniami, które wystrzeliły z ziemi jak włócznie.

Zalvazar przeciął je jednym potężnym ciosem.

Maczeta rozbłysła, a ostrze wbiło się w pierś bestii.

Krothar zatrząsł się, a jego ciało zaczęło rozpadać się na tysiące liści.

Wiatr porwał je w górę, a las ucichł.

Zalvazar stał pośród ruin pradawnej bestii, a w jego dłoni kryształ pulsował nową mocą.

Wiedział, że od tej chwili nie jest już tylko wyrzutkiem ani samotnikiem.

Był gajowym Alva'Tharu.

Strażnikiem, który potrafił ujarzmić nawet duchy lasu.

Gdy wrócił do twierdzy, Aelvara czekała na niego na schodach.

Jej oczy błyszczały dumą.

— Zalvazarze... twoja maczeta nie jest już tylko bronią. Stała się symbolem. Od dziś Alva'Thar ma w tobie nie tylko wojownika, ale i obrońcę dusz.

Zalvazar nie odpowiedział.

Oparł maczetę o ziemię i spojrzał w stronę horyzontu.

Wiedział, że to dopiero początek.

Bo jeśli las krył takie istoty...

to Noc'Shary nie były jedynym cieniem, który nadciągał.